



Kraków

ŁAŹNIA
NOWA



Dom
Spotkań
z Historią

SA
NAZYWAM SIĘ
ANNA WAŁENTYNOWICZ

TEATR ŁAŹNIA NOWA – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

REŻYSERIA:
ANNA GRYSZKÓWNA

SCENARIUSZ:
PIOTR ROWICKI

REŻYSERIA ŚWIATŁA:
MATEUSZ GIERC

MUZYKA:
PIOTR KALIŃSKI

KOSTIUMY:
MAJA WITKOWSKA

SCENOGRAFIA:
MAJA WITKOWSKA
ANNA KĄDZIELA-GRUBMAN
MICHAŁ GRUBMAN

REŻYSERIA MATERIAŁÓW FILMOWYCH:
MICHAŁ GRUBMAN

MULTIMEDIA/PRODUKCJA FILMÓW:
LEMONIADA STUDIO

INSPICJENTKA:
KATARZYNA BIAŁOOKA

WYSTĘPUJĄ:
AGNIESZKA PRZEPIÓRSKA
ANNA GRYSZKÓWNA

PRODUKCJA:
TEATR ŁAŻNIA NOWA
DOM SPOTKAŃ Z HISTORIĄ

SCENARIUSZ SPEKTAKLU POWSTAŁ NA PODSTAWIE KSIĄŻKI „WALENTYNOWICZ. ANNA SZUKA RAJU”
AUTORSTWA DOROTY KARAŚ I MARKA STERLINGOWA (WYDAWNICTWO ZNAK, 2020).
W SPEKTAKLU WYKORZYSTYWANE SĄ ARCHIWA ZE ZBIORÓW EUROPEJSKIEGO CENTRUM SOLIDARNOŚCI.

PROGRAM

REDAKCJA:
MAŁGORZATA WACH

WSPÓLPRACA:
ŁUKASZ KOLENDER

PROJEKT I OPRACOWANIE GRAFICZNE:
ZBIGNIEW PROKOP

WYDAWCA:
TEATR ŁAŻNIA NOWA

KRAKÓW 2023

ISBN 978-83-66766-01-3

ANNA WALENTYNOWICZ

Anna Walentynowicz (z domu Lubczyk) urodziła się w 1929 r. w małej, ukraińskiej wiosce. Z powodu biedy w wieku dwunastu lat musiała iść na służbę do pobliskiego majątku. W 1950 r. związała swoje życie ze Stoczną Gdańską, najpierw jako spawaczka, potem suwnicowa. W 1952 r. urodziła syna – Janusza Michała, którego wychowywała samotnie przez dwanaście lat. Była opozycjonistką w PRL, współzałożycielką Wolnych Związków Zawodowych i działaczką NSZZ „Solidarność”. Zнали ją: Lech Wałęsa, Edward Gierek, Jan Paweł II i George Bush. Magazyn „Time” nazwał ją „matką polskiej niepodległości” i nadał tytuł Kobiety Roku 1980. Zginęła w katastrofie samolotu w Smoleńsku 10 kwietnia 2010 roku.

Scenariusz spektaklu „Nazywam się Anna Walentynowicz” powstał na podstawie książki „Walentynowicz. Anna Szuka raj” autorstwa Doroty Karaś i Marka Sterlingowa. Książkę wydało Wydawnictwo Znak (2020 r.).

Spektakl po raz pierwszy został zaprezentowany 14 sierpnia 2022 r. w Stoczni Gdańskiej w 42. rocznicę Strajku. Nosił wówczas tytuł „Anna”, a jego produkcją zajęła się Fundacja Nowa Strefa Kultury. Partnerem wydarzenia było Europejskie Centrum Solidarności.



FOT. DAWID LINKOWSKI

NAZYWAM SIĘ ANNA WALENTYNOWICZ

Polka, katoliczka, działaczka antykomunistyczna – to pierwsze skojarzenia łączące się z nazwiskiem Anny Walentynowicz. Kolejne – „matka” – nie jest już tak oczywiste, ale dorzucmy je do puli, bo idealnie dopełnia wcześniejsze. Taka właśnie jest podręcznikowa i pomnikowa Anna. Zastygła w jednej pozie. Na posągowych bryłach nie ma miejsca na rysy i szczeliny, przynajmniej, dopóki ktoś składa pod nimi kwiaty i wieńce.

Każda z oczywistych tożsamości Walentynowicz jest do podważenia. Była Polką, która ukrywała ukraińskie korzenie. Wychowała się w protestanckiej rodzinie, chrzest przyjęła jako dorosła osoba. Zanim została działaczką „Solidarności” przez wiele lat aktywnie działała w strukturach socjalistycznych organizacji. Miała panieńskie dziecko, przez kilkanaście lat wychowywała samotnie syna.

Dlaczego nigdy nie przyznała się do ukraińskiego pochodzenia?

Rozważaliśmy to z Hanną Krall, autorką reportażu „Ludzie może i nie są tacy źli”. W niezwykle szczerej rozmowie, którą jesienią 1980 roku przeprowadziła dziennikarka z działaczką „Solidarności”, Walentynowicz nie tylko nie zdradziła swojej tajemnicy, ale nawet podsuwała mylne tropy, wspominając ojca i brata jako polskich patriotów. Prawda wyszła na jaw dopiero po śmierci Anny. W 2019 roku, po powrocie z Ukrainy, opowiedzieliśmy Hannie Krall prawdziwe szczegóły biografii bohaterki jej reportażu sprzed lat.

– Ani jej nie oskarżajcie, ani nie brońcie – przekonywała nas reporterka. – Spróbujcie ją zrozumieć. Kim chciała być, a kim nie. Kto jej w tym pomógł, a kto przeszkodził.

Walentynowicz swoją polskość nosiła jak tarczę. Jej panieńskie nazwisko – Lubczyk – nie zdradzało za wiele. Co najwyżej wskazywało na rodowód wywodzący się z dawnych Kresów.



FOT. DOMINIK KULASZEWICZ

Nie zmieniła go zaraz po wojnie, gdy fałszywi świadkowie potwierdzili przed sądem w Gdańsku, że urodziła się kilkadziesiąt kilometrów od miejsca, w którym faktycznie przyszła na świat. Lepiej było wtedy odciąć się od korzeni, zapomnieć o tym, że miało się dom, rodzinę, siostry i braci. Bezpieczniej było zacząć wszystko od nowa.

Walentynowicz widziała wojnę w jej najgorszym wydaniu. Na Wołyniu, gdzie wszyscy strzelali do wszystkich, życie ludzkie było warte tyle, ile pochodzenie. Ona miała ukraińskie korzenie, ale służyła w polskiej rodzinie. Opiekunowie wywieźli ją z wojennego piekła czy uprowadzili? Nie wiemy tego do dziś.

Kilkunastoletnia Anna Lubczyk nauczyła się, że może liczyć tylko na siebie. Potrafiła poświęcać się i pracować

ponad siły. Umiiała znosić niedostatek i tęsknotę za bliskimi. Rozumiała też coś więcej. Uznała, że ma prawo do godności i sprawiedliwości. Wtedy zbuntowała się po raz pierwszy. Opiekunowie kazali jej pracować ponad miarę, zabraniali chodzenia do szkoły? Odwróciła się na pięcie i odeszła. Nigdy więcej nie chciała z nimi mieć nic do czynienia.

Mężczyzna porzucił ją, gdy była w ciąży? Nigdy mu tego nie przebaczyła. Synowi nigdy nie zdradziła imienia ojca.

Nie miała gdzie mieszkać? Wystąpiła list do przewodniczącego Rady Państwa, Bolesława Bieruta. Raczej go nie przeczytał, ale stocznia przyznała jej mieszkanie w nowo wybudowanej kamienicy. Żyła w nim do śmierci.

Obniżyli jej pensję, gdy po chorobie wróciła do pracy? Szykanowali ją w stoczni, gdy upomniała się o sprawiedliwość? Wytkócała się o swoje, pisała odwołania, zbierała podpisy. Jej upór doprowadził do tego, że zwolniono ją z pracy. Dla rządzących socjalistycznym państwem był to początek zbliżających się kłopotów.

Z rad Hanny Krall najważniejsza jest jedna: „Spróbujcie ją zrozumieć”.

DOROTA KARAŚ, MAREK STERLINGOW

W spektaklu „Nazywam się Anna Walentynowicz” nie stawiamy naszej bohaterce pomnika.

Przede wszystkim opowiadamy o silnej kobiecie i drodze jaką pokonała z małej wsi w Ukrainie po największe wydarzenia w powojennej Polsce. (...) Fakt, że spektakl będzie grany w Teatrze Łaźnia Nowa, ma dla mnie szczególne znaczenie. Przed laty w budynku mieściły się warsztaty, w których kształcili się przyszli pracownicy Huty im. Lenina. Dla wielu z nich praca w Kombinacie – podobnie jak praca Anny Walentynowicz w Stoczni Gdańskiej – była szansą na lepsze życie. W jakimś sensie nasz spektakl jest więc opowieścią nie tylko o Annie, ale o losie robotników w powojennej Polsce.

AGNIESZKA
PRZEPIÓRSKA



FOT. ARCHIWUM SYNA ANNY WALENTYNOWICZ

TAKA WŁAŚNIE BYŁA MOJA MAMA

„Dzień dobry. Nazywam się Anna Walentynowicz” – to były pierwsze słowa, jakie mama wypowiedziała, przychodząc na spotkanie Wolnych Związków Zawodowych. Ktoś, prawdopodobnie pan Andrzej Gwiazda, ją wtedy uciszył, mówiąc: „Tylko bez nazwisk”. Dlatego uważam tytuł spektaklu za bardzo znaczący.

Grę Pani Agnieszki Przepiórskiej mogę opisać bardzo krótko: to jest moja mama! W słowach, ruchach, gestach. Jedyną rzeczą, która się nie zgadza, jest to, że sceniczna Anna Walentynowicz paliła papierosa. Moja mama nigdy nie paliła, ale sztuka teatralna rządzi się swoimi prawami i być może taki element był w scenariuszu potrzebny.

Poza tym drobnym szczegółem, wszystko inne się zgadza. Taka właśnie była moja mama! Nie mam na myśli jedynie powszechnie znanych faktów, ale również to, kim była jako człowiek i co myślała. Dla wielu była bohaterką „Solidarności”, dla mnie przede wszystkim bardzo dzielną kobietą! W żadnym momencie życia

nie dała mi odczuć, że mogę być dla niej ciężarem. Nigdy nie powiedziała, że coś ważnego ją ominęło, bo musiała się mną zajmować. Była nie tylko wspaniałą mamą, ale w jakimś sensie była również tatą, którego próbowała mi zastąpić. Myślę, że za mało ją doceniałem. Za mało jej w życiu dziękowałem. Przywołałem jedną, bardzo prywatną scenę ze swojego dzieciństwa. Miałem dziewięć, może dziesięć lat. Marzyłem o rowerze. Czasem udało mi się go pożyczyć od jakiegoś kolegi, ale mamy nawet nie śmiałem o niego prosić. Wiedziałem, że w domu ciągle brakowało pieniędzy. Nie było drugiej pensji. Ale przed mamą nie można było niczego ukryć. Któregoś dnia wróciła z pracy i powiedziała: „Januszkule, chodź wybierzesz sobie rower”. Nie mogłem w to uwierzyć do ostatniej chwili! Kupiliśmy niebiesko-srebrnego Merkurego. Był piękny! Dużo później dowiedziałem się, że mama kupiła go za talon, który dostała w pracy jako nagrodę. Mogła wybrać coś innego, bardziej potrzebnego, ale wybrała moje marzenie.

JANUSZ WALENTYNOWICZ





FOT. ARCHIWUM SYNA ANNY WALENTYNOWICZ

KOBIETA MATKA SIŁACZKA

ROZMOWA Z ANNĄ
GRYSZKÓWNĄ,
REŻYSERKĄ SPEKTAKLU
„NAZYWAM SIĘ ANNA
WALENTYNOWICZ”

**Małgorzata Wach: Jaką kobietą była
Anna Walentynowicz?**

Dla mnie niezwykle odważną i bezkompromisową. Wiedziała, czego chce i po to szła. Była przy tym konsekwentna. Nie było chyba wśród bohaterek, o których dotąd z Agnieszką Przepiórską i Piotrem Rowickim opowiadaliśmy, kobiety, która tak bardzo stawałaby po swojej stronie i była w tym tak zdeterminowana.

Dlaczego zdecydowaliście się zrobić o niej spektakl?

Anna Walentynowicz była dotąd symbolem wykorzystywanym dość plakatoowo. Została sprowadzona do nazwiska i twarzy, które coś załatwiały. W tym powszechnie znanym obrazie brakowało tego, co nas z Agnieszką najbardziej zainteresowało, czyli kobiety i matki. Byłyśmy ciekawe, jak wyglądało jej życie, kiedy wracała po pracy do domu i w tych strasznych czasach, jakimi był PRL, musiała sobie radzić z brakiem wszystkiego, mając małe dziecko, którym opiekowała się samotnie.

Wychodziła z domu o piątej rano, żeby zdążyć do stoczni na szóstą odbić kartę. Pracowała na kolanach, w wysokiej temperaturze, spawając statki od spodu. Wracała do domu i była matką, pielęgniarką, nauczycielką... Żadnej niani, żadnego wsparcia ze strony rodziny.

Dzisiaj ktoś, kto żyje w ciepłarnianych warunkach, ma czelność mówić, że ona była radykalna, brutalna, okrutna, bezczelna. Musiała taka być, bo inaczej by zginęła.

Kto z Was sięgnął po tę historię pierwszy?

Z pomysłem przyszła Agnieszka Przepiórska zafascynowana lekturą książki Doroty Karaś i Marka Sterlingowa „Walentynowicz. Anna szuka raju”, na podstawie której później Piotr Rowicki napisał scenariusz. Im bardziej zagłębialiśmy się w jej historię, tym bardziej czuliśmy, że chcemy pokazać to, co jest pod spodem tej powszechnie znanej legendy. Zrozumieliśmy, że w przypadku Anny Walentynowicz nie ma białych-czarnych odpowiedzi.

To znaczy?

Za niemal każdym z jej życiowych wyborów kryła się dramatyczna historia. Kiedy miała 8 lat, straciła matkę. W wieku 12 lat została oddana na służbę do pobliskiego majątku, gdzie pracowała od rana do nocy. Wcześniej na służbie w tym samym miejscu była jej starsza siostra, ale nie dała rady i wróciła do domu. Anna dała radę, bo musiała. Dawała też radę, kiedy trafiła do Stoczni, kiedy urodziła dziecko, które samotnie wychowywała, kiedy zachorowała na raka, kiedy wybuchły strajki...

Zarówno w książce, jak i w spektaklu jest taka scena, w której dwa dni po porodzie wraca do domu z dzieckiem kolejką. Zapytana po latach, dlaczego nie poprosiła nikogo o pomoc, odpowiedziała: „Nie wiem, jak to się stało, że ja byłam sama. Po prostu musiałam chyba na siebie liczyć”.

Dla mnie najbardziej bolesne, a jednocześnie najpiękniejsze było to, że ona w tym wszystkim miała jeszcze odwagę i siłę być bohaterką.

Jak myślisz, w którym momencie zaczęła walczyć nie o siebie i o dziecko, tylko o Polskę?

Myślę, że dla niej ona, jej dziecko, jej dom to była Polska. Nie rozróżniała wielkiej idei, jak bardzo często robią to mężczyźni, że porzucają rodziny, niszczą swoje relacje, bo idą walczyć za kraj. Dla niej to było jedno.

To jest zupełnie inna perspektywa niż perspektywa mężczyzny, który ubiera zbroję wsiada na konia i „patataj, patataj na wielką wyprawę”, a jednocześnie, zarówno ona, jak i inne kobiety, które odegrały ogromną rolę w tworzeniu „Solidarności”, była przez długi czas marginalizowana, to Lecha Wałęsę zapamiętano, to o nim pisała światowa prasa. Kobiety „Solidarności” zostały sprowadzone do roli tych, które robią mężczyznom kanapki.



Opowiesz o tym?

W filmie „Strajk” w reżyserii Volkera Schlöndorffa jest scena, w której mężczyźni rozmawiają o sprawach przyszłości, a kobiety w tle robią im kanapki.

Grałam w tym filmie Alinę Pienkowską, która, podobnie jak Anna Walentynowicz i Henryka Krzywonos, była w grupie sygnatariuszy porozumień sierpniowych. Jako jedna z kobiet zamykałam bramę, żeby strajk się nie rozszedł. Czułam jakbyśmy rzeczywiście cofnęły się w czasie i odgrywały fragment historii. Na planie, ze statystami, w bezpiecznym środowisku, zobaczyłam, jakim gestem było to, co te dziewczyny zrobiły!

A potem te dzielne kobiety pokazuje się w tle jak robią mężczyznom kanapki. Patrzyłam na tę scenę i myślałam: ja p... nie wierzę!

Podkreślacie z Agnieszką, że opowieść o Annie jest opowieścią o wielu innych kobietach, które w tych trudnych, powojennych czasach były takimi siłaczkami.

Anna Walentynowicz od początku walczyła nie tylko o swoje dziecko, ale również o prawa innych kobiet. Była ich głosem w Stocznii. To dlatego stanęła na czele Ligi Kobiet, a na swoim wydziale została przewodniczącą Komisji Kobiet. Chciała, żeby kobiety były widziane i słyszane, a nie używane

wyłącznie jako tło dla mężczyzn. Dlatego była wściekła, kiedy okazało się, że podczas obrad plenarnych Okrągłego Stołu, wśród 58 uczestników znalazły się tylko dwie kobiety.

„A ja? A my? A one?” – pyta Wasza Anna Walentynowicz.

Na szczęście historia się o te bohaterki upomniata.

W 2020 r. amerykański tygodnik „Time” umieścił Annę Walentynowicz na liście najbardziej wpływowych kobiet minionego stulecia. Znalazła się na okładce 1980 r., do której nawiązuje również plakat spektaklu.

Myślę, że była w tym jakaś sprawiedliwość dziejowa. Wcześniej wielokrotnie jej nazwisko pomijano. Na przykład w niemieckim tygodniku „Stern”, w którym pojawił się obszerny artykuł na temat strajku, została podpisana jako „anonimowa robotnica”.

Po tym wszystkim tak ją podpisać? Tak bardzo nie wiedzieć? Nie dopytać? Nie sprawdzić?

Dlatego zatytułowaliście spektakl „Nazywam się Anna Walentynowicz”?

Ten tytuł jest oddaniem jej należnego miejsca w historii. Nasza Anna mówi „Nie jestem anonimową robotnicą. Nazywam się Anna Walentynowicz. Zapamiętajcie to sobie!”.

Prapremiera spektaklu odbyła się w ubiegłym roku w Stocznii Gdańskiej, z okazji 42-lecia strajków. Zatytułowaliście go wtedy „Anna”. Dlaczego zdecydowaliście się na zmianę tytułu?

Przyznam, że długo się z Agnieszką bałyśmy tej „znanej” Walentynowicz. Obchodziłyśmy ją jak jeża. Z czasem, zamiast „ikony” i „legendy” pojawiła się kobieta i matka. W końcu zaczęłyśmy o niej mówić po prostu Anna, stąd się wziął pierwszy tytuł, ale „Nazywam się Anna Walentynowicz” oddaje złożoną historię naszej bohaterki, zarówno tę powszechnie znaną, jak i tę, która była nam najbardziej bliska podczas tworzenia spektaklu, czyli przede wszystkim kobiety i matki.

To dlatego na jednym ze zdjęć promujących spektakl Agnieszka ma przypiętą Matkę Boską karmiącą?

Matka Boska nawiązuje do symbolu, który Lech Wałęsa nosił w klapie marynarki. W jego przypadku była to Matka Boska Częstochowska, w przypadku Anny Walentynowicz mogła to być tylko Matka Boska karmiąca.

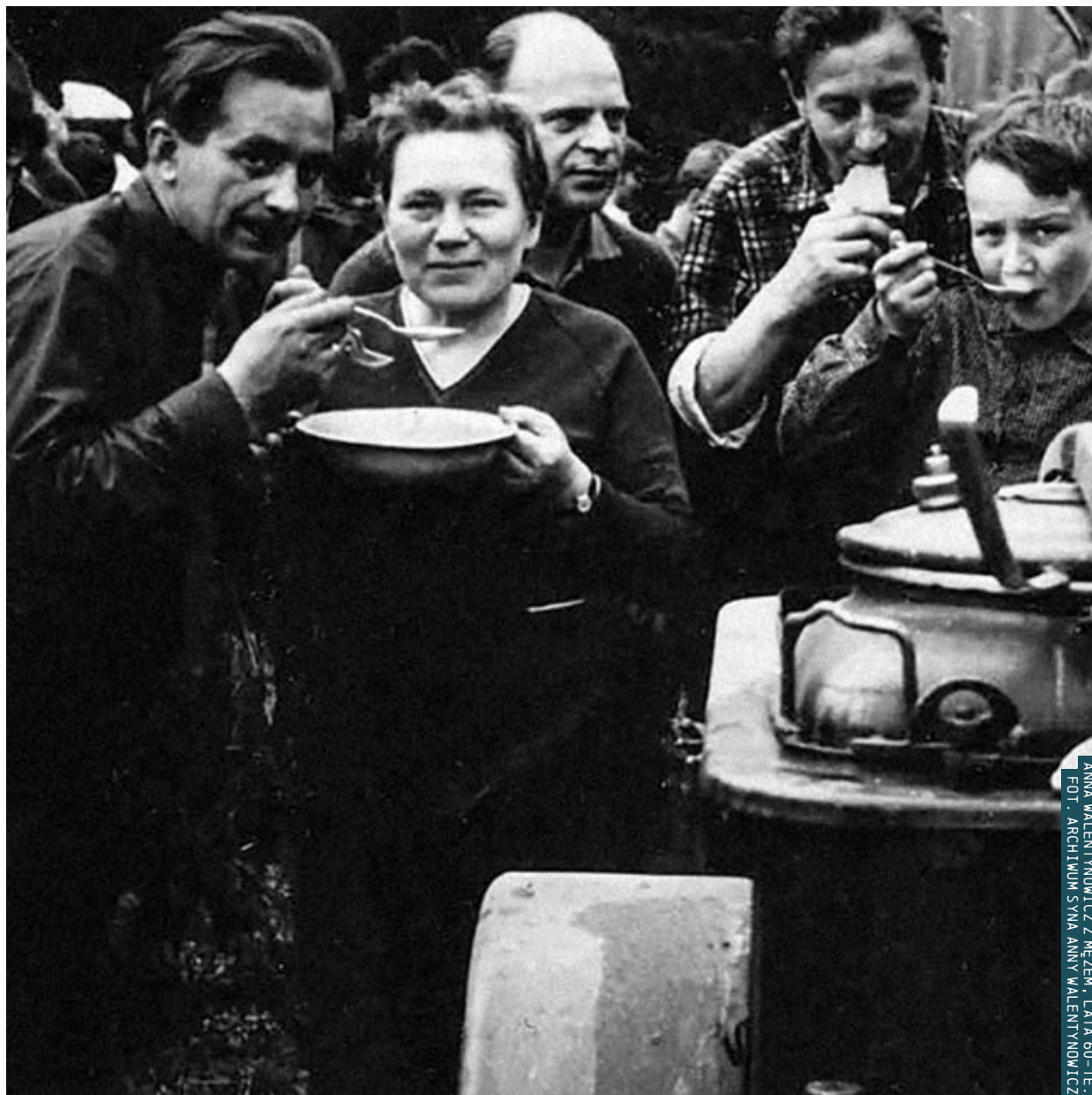
Moment, w którym matka karmi swoje dziecko, jest momentem jej największej bezradności. Nie może

się bronić ani uciekać, jest jednym ze swoim dzieckiem. Jeśli nie ma kogoś, kto się nią zaopiekuje, otoczy ramieniem, to staje się łatwym celem.

Anna Walentynowicz, podobnie jak Barbara Sadowska, o której opowiadamy w spektaklu „W maju się nie umiera”, musiały się mierzyć ze światem urządzonym przez mężczyzn. Ojciec Janusza, czyli syna Anny, kazał jej usunąć ciążę, a kiedy tego nie zrobiła, zniknął z jej życia. Musiała być matką, ojcem, jedyną żywicielką rodziny, dzielną robotnicą, przodowniczką...

Wielu do dzisiaj zarzuca jej zauroczenie socjalizmem. W propagandowej prasie pojawiała się jako ta, która osiągała „270 procent normy”.

Jeśli oderwie się te informacje od szerszego kontekstu, to faktycznie można powiedzieć, że była twarzą minionego systemu, ale nie możemy przemilczeć tego, co jej ten system dał. A dał jej zawód, pracę i własne mieszkanie. Mogła liczyć na urlop macierzyński i żłobek dla dziecka. W jakimś sensie socjalizm dał jej więc szansę na godne życie. Odkąd skończyła 12 lat, ciężko pracowała. Wielokrotnie głodowała.



ANNA WALENTYNOWICZ Z MĘŻEM, LATA 60-TE.
FOT. ARCHIWUM SYNA ANNY WALENTYNOWICZ

Do końca życia nie przyznała się do swojego ukraińskiego pochodzenia ani wyznania.

Wystarczy popatrzeć na to, co się dzisiaj dzieje w Polsce. Jak wielu Ukraińców próbuje się wkleić w nasz polski krajobraz. Chcą być jak najmniej widzialni z lęku, żeby ich ktoś źle nie potraktował.

Dobrze jest zatrudniać Ukrainki i Ukraińców, bo są tani i godzą się pracować na „czarno”, a równocześnie niedobrze jest ich zatrudniać, bo to jednak „obcy”, którzy odbierają pracę „naszym”. W przypadku Anny Walentynowicz dochodził jeszcze kontekst Wołynia, który w latach 50-tych nasilił antyukraińskie nastroje.

Myślę, że później było jej się trudno z tej „nowej biografii” wycofać. Zastanawialiśmy się z Agnieszką nad tym, co my byśmy zrobiły na jej miejscu?

Do jakich wniosków doszłyście?

Na to pytanie nie ma uczciwej odpowiedzi. Żadna z nas nie mierzyła się z tak trudną historią. Z drugiej strony myślę, że to musiało być dla niej strasznie obciążające. Zerwać zupełnie kontakt z rodziną, wypalić własne korzenie, skazać się na totalną samotność. Chce mi się płakać za każdym razem, kiedy o tym myślę...

Z Agnieszką Przepiorską i Piotrem Rowickim pracowaliście wcześniej nad spektaklami o Zuzannie Ginczance, Simonie Kossak, Barbarze Sadowskiej i Wiślawie Szymborskiej. Jest jakaś cecha, która wyróżnia Annę na tle pozostałych bohaterek?

Wydaje mi się, że Anna była z nich wszystkich najmocniejsza. Gdybym miała ją określić jednym słowem to powiedziałabym, że była niezłomna, ale osoba niezłomna bywa też często bardzo irytująca, bo nie idzie na kompromisy.

Walentynowicz przez całe swoje życie musiała trzymać gardę. Opuściła ją na jakiś czas w 1964 r., kiedy spotkała Kazimierza Walentynowicza. Człowieka, który dał jej i jej synowi namiastkę rodziny. Był przystanią, w której wreszcie poczuła się spokojnie i bezpiecznie. Myślę, że wtedy była naprawdę szczęśliwa, ale siedem lat później straciła również tę przystań, bo Kazimierz zmarł na raka.

Podczas spektaklu poznajemy ją w momencie, kiedy jest już starszą, schorowaną kobietą. Jest rozczarowana nową Polską, ma pretensje do Lecha Wałęsy i wielu innych osób. Czuje się zdradzona i opuszczona. Coraz bliżej jej do skrajnej prawicy. Jesteś w stanie zrozumieć taką Annę?

Kiedy człowiek starzeje się i choruje, a do tego jest zupełnie sam, to zaczyna tracić grunt pod nogami. I kiedy nie należy ani do jednych, którzy zakłamują prawdę, ani do drugich, którzy tej prawdy nadużywają, to zostaje samotnym, białym żaglem. W takim momencie część osób pójdzie za tymi, którzy ich docenią i przytulą. Powiedzą, że ich życie było coś warte. I znowu, nie usprawiedliwiam jej wyborów, zwłaszcza tych politycznych, bo jest mi do nich bardzo daleko, ale próbuję zrozumieć, dlaczego były takie, a nie inne.

Myślę, że choroba nowotworowa, która dwukrotnie do niej przysłała, była wynikiem bezradności i niezgody wobec otaczającej ją rzeczywistości. Ona już po prostu nie miała na to wszystko siły. Tak samo było z Barbarą Sadowską, matką Grzegorza Przemyka, bohaterką spektaklu „W maju się nie umiera”.

Obie wychowywały synów same, chociaż w przypadku Grzegorza Przemyka ojciec był w jego życiu obecny.

Obie musiały się mierzyć ze światem urządzonym przez mężczyzn. Obie miały też poczucie winy, że nie były dostatecznie dobrymi matkami. Barbara Sadowska mówi o tym wprost w naszym spektaklu.

Katolickie wychowanie, powoduje w nas, matkach, nieustanne wyrzuty sumienia. Nawet jeśli mamy poczucie, że wszystko dobrze robiliśmy, to cały system jest skonstruowany w taki sposób, żeby kobieta zawsze czuła się czemuś winna. Bo czegoś nie dopilnowała, bo gdzieś dała za mało, a gdzieś za dużo. Jeśli jesteś bohaterką, to pewnie byłaś złą matką. Jeśli byłaś złą matką, to koniec końców nie możesz być bohaterką, bo pewnie zaniedbywałaś swoje dzieci.

Z mężczyznami sprawa wygląda zupełnie inaczej. Czy ktoś Wałesie zarzucał, że siedział w Stoczni, a w domu czekała szóstka dzieci? Nie, bo w domu była żona, która się tymi dziećmi zajmowała.

Część kobiet, nawet jeśli czuje wewnętrzne spełnienie – osobiste albo zawodowe – uważa, że osiągnęły je kosztem czegoś albo kogoś.

Kobieta jest pierwszą, która bierze na siebie winę. Mówimy, że Gustaw Konrad „cierpiął za miliony”, ale w taki sposób cierpieć potrafią tylko kobiety. Stąd ten symbol Matki Polki wiecznie udręczonej, umęczonej, do której każdy ma o coś pretensje.



FOT. KLAUDYNA SCHUBERT

Podczas spektaklu na scenie widzimy nie tylko Agnieszkę, ale również Ciebie. Twój kostium do złudzenia przypomina bohaterkę z filmu „Człowiek z żelaza” Andrzeja Wajdy. Tak samo masz też na imię. Jesteś właśnie TĄ Agnieszką?

Filmy Andrzeja Wajdy były dla nas jedną z inspiracji podczas tworzenia spektaklu, ale moja postać ma inne zadanie niż Agnieszka z filmu Wajdy. Wprowadziliśmy ją, bo chcieliśmy, żeby w tej historii był obecny ktoś jeszcze. Ktoś, kto zada Annie ważne pytania, ale też tak zwyczajnie, po ludzku przy niej będzie. Może to dziwnie zabrzmieć, ale nie chcieliśmy, żeby znowu była sama...



FOT. KLAUDYNA SCHUBERT

„Pięćdziesiąt lat. Pół wieku. Nie pamiętam wszystkiego, podobno zapamiętujemy tylko dobre rzeczy. Ile było tych dobrych dni? Kiedy się chciało żyć, kiedy się człowiek uśmiechał. Kiedy mu coś wychodziło, kiedy wszystko się układało?” – zastanawia się moja bohaterka ubrana w schodzoną sukienkę i serdak. Podczas sesji zdjęciowej, która towarzyszyła promocji spektaklu, postanowiliśmy ją przenieść do mieszkania urządzonego w stylu lat 60-tych i 70-tych, ubrać w modny kostium i zadbać o elegancką fryzurę oraz make-up. Tak niewiele wystarczyło, żeby ze zmęczonej pracownicy Stoczni stała się „kobietą z okładki”...

AGNIESZKA
PRZEPIÓRSKA

PRAPREMIERA SPEKTAKLU ODBYŁA SIĘ 14 SIERPNIĄ 2022 ROKU
NA TERENIE STOCZNI GDAŃSKIEJ.

FRAGMENTY RECENZJI:

„Agnieszka Przepiórska w roli legendy «Solidarności» zachwyca. Jest to gra, w której od początku do końca nie dostrzega się nic z wysiłku, w której rzemiosło i warsztat pozostają niezauważalne”.

GRAŻYNA ANTONIEWICZ, „DZIENNIK BAŁTYCKI”

„Przepiórska odczytuje swoją bohaterkę głównie przez pryzmat jej niestrudzonej, samoodnawiającej się energii życiowej. Gra ofiarnie, żywiołowo, intensywnie, monopolizując scenę i narzucając spektaklowi szybkie tempo”.

MARCIN MINDYKOWSKI, „GAZETA WYBORCZA”

„Spektakl to też ważny głos feministyczny. Twórczynie naświetlają mocno te momenty, w których Anna musi walczyć z ułożonym przez mężczyzn światem, czy kiedy wbrew społecznym normom i zwyczajom przejmują męskie role i idzie pod prąd”.

KATARZYNA FLADER-RZESZOWSKA, „TEATR”



TEATR ŁAŹNIA NOWA
KRAKÓW-NOWA HUTA
OS. SZKOLNE 25



Dom
Spotkań
z Historią